Poczta opłacona z góry. Cena 25 groszy.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: *Ed. Burschego, A. Suessa, ks. seniora Gloeha* — z Warszawy, *ks. W. Galstera* ze Starej Iwiczny, *ks. J. Winklera* z Pilicy, *ks. kapelana A. H. Figaszewskiego* z Brześcia n Bugiem, *prof. gimnazjum im. M. Reja, Dra O. Bartla, prof. gimn. zgierskiego A. Wajgelta.*

Cena prenumeraty: wraz z przesyłką pocztową 3 zł. kwartalnie. Pojedynczy numer 25 groszy.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ks. senior F. GLOEH, ul. Puławska Nr. 4.
Prócz administracji prenumeratę przyjmuje:
w Warszawie, księgarnia W. Mietke, Wspólna 10.
Księgarnia, G. Szylinga, Szpitalna 10.
w Łodzi, księgarnia Rennera Piotrkowska 65.

Wychodzi raz na tydzień w niedzielę

Ogłoszenia: Kolumna zawiera 4 szpalty ogłoszeń. Za wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 1508.

Rok XVIII. WARSZAWA, dnia 28 marca 1937 r. **Nr. 13**

WSZYSTKIM SZANOWNYM I MIŁYM CZYTELNIKOM I CZYTELNICZKOM BŁOGOSŁAWIONYCH I RADOSNYCH ŚWIĄT ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO. ŻYCZY

REDAKCJA „GŁOSU EWANGELICKIEGO".

Ks Stefan Stegman. Łowicz.

JEZUS ŻYJE!

„I zabiliście dawcę żywota, którego Bóg wzbudził od umarłych, czego my świadkami jesteśmy".

Dzieje Ap. 3, 15.

Wielkanoc! Zmartwychwstanie! Czyż nie wyrywa się całkiem odruchowo z duszy naszej okrzyk pełen radości, okrzyk chwalący Boga za to, że wogóle mamy tę Wielkanoc, że możemy mówić o zmartwychwstaniu? Bądźmy szczerzy: któż chciałby być i żyć bez Wielkanocy, któż chciałby widzieć śmierć ukochanego człowieka bez wiary i nadziei wielkanocnej?

Porzućmy troski, osuszmy łzy, nie trwóżmy się, gdyż Chrystus Pan zmartwychwstał i pragnie darzyć ciebie i mnie tem zwycięstwem, które odniósł.

„Jezus żyje w Nim i ja!
Śmierci, gdzież są trwóg twych cienie?
Jezus żyje, więc mi da
Zmartwychwstanie i zbawienie,
Wzniesie do światłości mię;
Tej ufności trzymam się!"

Rozkołysały się wszystkie dzwony, dzwony wielkanocne i pragną wydobyć z twej duszy wyznanie szczere i głębokie, że ta wielka prawda, którą głoszą światu, to nowina radosna, której na imię: „Jezus żyje" odpowiada najwewnętrzniejszej potrzebie twego serca, zaspakaja gorący głód twej duszy, wypełnia tę ziejącą pustkę, tę otchłań bezdenną, jaka się otwiera pomiędzy zgiełkiem życia, pełnią życia i pomiędzy znikomością w obliczu śmierci.

Rozkołysały się wszystkie dzwony, dzwony wielkanocne, huczą i śpiewają w zawody z pieśnią skowronków i pragną utrwalić w twem sercu, wzmocnić i ugruntować tę prawdę, że Jezus Chrystus, twój Zbawiciel nie mógł być w żadnym razie pochłonięty przez śmierć, nie mógł pozostać w grobie Ten, który jest słońcem Pisma św. słońcem świata i „księciem Żywota."

Rozkołysały się dzwony i chcą ci powiedzieć, że złość, zemsta, nienawiść i okrucieństwo, szydercza złośliwość i obłuda Jego wrogów nie mogła zwyciężyć, nie mogła napawać się tryumfem, że nie mogli ostatecznej racji mieć ci, którzy wszystko czynili aby Go zgładzić i zatrzeć ślad Jego nauki, Jego Światła i Miłości.

Rozkołysały się dzwony, dzwony wielkanocne, brzmią i huczą, niosąc hejnał pod niebiosa, — wkradają się swym echem do twej duszy, do twego sumienia i dzwonią w pytaniu: a wina, a grzech, twa wina, twój grzech?! Przecież w Wielki Piątek w ukrzyżowaniu widziałeś i czułeś też i swój grzech, a Bóg jest stokroć większy niż wszystko, i dlatego dał nam przez zbudzenie Chrystusa z umarłych ten wielki dowód, ten wielki znak swej łaski i odpuszczenia — inaczej chyba być nie mogło.

Na potwierdzenie tego wszystkiego słyszymy słowa w tekście naszym: „Czego my świadkami jesteśmy" i czyżbyśmy nie mieli ufać Piotrowi? Dlaczegóż? A czyżbyśmy nie mieli ufać wszystkim tym postaciom z 19 stu-

leci, tym prawdziwie szlachetnym ludziom, a tacy przecież wciąż się ukazywali na horyzoncie historii, ludzie, których życie było ugruntowane na fundamencie wiary, wiary w Chrystusa i Jego zwycięstwo; weźmy tu, krótko wspominając, tylko autorów naszych pieśni — ileż tam siły, potęgi, niezachwianej ufności! Ci ludzie stali na gruncie prawdy wielkanocnej: „Jezus żyje".

A jednak — dzwony Zmartwychwstania chcą nam jeszcze powiedzieć coś więcej — rozkołysały się i nie chcą póty umilknąć, póki nie wysłuchasz z ich cudnej, wiośnianej, wzniosłej melodii jeszcze czegoś więcej: że nie na tem koniec, że kompletną pewność, ufność i przekonanie dopiero wtedy się znajdzie, zrodzi w tobie, jeżeli to wszystko stanie się twoim własnym przeżyciem. To, co nam mówi Piotr, czy Paweł, czy szereg innych nowszych bohaterów wiary, to jest, wielką rzeczą, ale to jest początek naszej prawdziwej, osobistej, istotnej, żywej wiary, to jest onym świętym początkiem i bodźcem do niej. Daj Boże, abyśmy doszli do takiego wyznania wielkanocnego i usłyszeli w sobie głos, jako odpowiedź na rozkołysane dzwony, to co kiedyś rzekli też ludzie: „Iż już nie dla twojej powieści wierzymy: albowiem eśmy sami słyszeli i wiemy, że ten jest prawdziwie Zbawiciel Świata, Chrystus"; a wtedy ostatnim akordem będzie dziękczynienie w ukorzeniu ale też i w blasku błogosławieństwa: „Ale niech będzie Bogu dzięka, który dał nam zwycięstwo przez Pana naszego Jezusa Chrystusa".

„On słabego wesprze mię,
Tej ufności trzymam się." Amen

Zygmunt Lubertowicz.

Szedł mistrz...

Szedł mistrz przed nimi jako tęczy łuk
i w aureoli jak słońce rozgorzał...
Ślepiec tę jasność nawet widzieć mógł
i konający zrywali się z łoża,
patrząc na Zjawę tę w różanej bieli,
a oni przy Nim szli i nie widzieli!...

I szedł przed nimi jasny Jego Duch,
brzmiała słów Jego melodja różowa,
głusząc się zrywał, nadstawiając słuch
krzykiem się życia roześmiał niemowa,
słysząc, jak grają na harfach anieli,
a oni obok szli... i nie słyszeli!...

Ust Jego tchnienie — było wonią róż,
przedziwna słodycz w głosie Jego drżała —
i serce w nich się rozrzewniało już,
ostatnia wilgła w niem krzemienna skała...
i już... iść chcieli za słów owych wonią,
lecz przeoczyli... I teraz nie zgonią!

Szła z nimi Cisza, najjaśniejsza z cisz,
droższa od skarbów wszystkich świata króli,
lecz oni smutni, wpatrzeni w swój krzyż,
słów nie pojęli — Mistrza nie przeczuli,
i choć kęs chleba łamali z Nim społem,
nimbu nad Jego, nie dostrzegli czołem...

I przeszedł mimo... a pozostał blask,
woń Jego skrzydeł jasną i różaną,
serce do Jego zatęsknione łask
i do modlitwy gnące się kolana...
Promień świetlany, ginący w oddali,
cóż? — kiedy Mistrza swego nie poznali!...

I zgasło światło... a pozostał żal,
serce brzemieniem przywalone smutku. .
bo już jak obłok odlatywał w dal...
A był tak blisko... Szedł tak pomalutku,
że tknął ich ramion swych skrzydeł przelotem...
Ach! — czemuż prędzej nie wiedzieli o tem?...

Andrzej Niemojewski.

Przeklęty

Męka cielesna trwała krótką chwilę. Poddał się jej dobrowolnie, bo mniemał, że ona położy koniec katuszom ducha, które były o wiele straszniejsze, niż głosiły wszystkie legendy o zdrajcach. Ogarniał go wprawdzie lęk przed śmiercią i konaniem, ale było mu tak nieznośnie, tak ciężko, że zwalczył nawet ów lęk tajemniczy i z sznurem u szyi rzucił się z gałęzi drzewa figowego.

Krew zalała mu oczy. Począł się dusić i chwytać rękami powietrzu, by znowu czepić się gałęzi. Chciał dłonią ująć sznur nad głową i podciągnąć się ku górze. Miotał się rozpaczliwie Ale już było zapóźno. Sznur zaciskał mu szyję i tamował oddech. Wtedy powiedział sobie, że to koniec wszystkiego.

Ale myśli szalały jeszcze w jego głowie. Szeroko rozwartemi oczami patrzył i widział przed sobą świat pogrążony w jakiejś krwawej siności. Potem świat cały poczerniał, a w myślach jego powstał zamęt. I nic już nie wiedział. Zatracił pamięć tego co jest i co było. Jak to długo trwało, nie wiedział

Nagle zdało mu się, że leży w ogrodzie pod drzewem i śpi. Przez sen czuje, że mu głowa ciąży i dzwoni w niej coś jak dwa młoty kowalskie, uderzające o kowadło. Serce bije nierówno, a zimny pot oblewa czoło. Przypomina sobie, że przed zaśnięciem popełnił jakiś czyn, który będzie straszny w następstwach odbierze mu spokój na zawsze i ściągnie na jego głowę przekleństwo. Ogarnia go okropny lęk i czuje, że za chwilę przypomni sobie wszystko. Jakaś myśl niby sęp kołuje nad jego głową i wnet rozdziobie jego pamięć, dobywając z jego krwawiącego wnętrza coś przerażającego, coś ohydnego, przed czem już teraz drży i zimnym potem się oblewa.

Odemknął oczy, podniósł je ku liściom drzewa figowego i ujrzał siebie powieszonego na gałęzi. Rude włosy, zlepione potem, opadły na szerokie barki, ręce i nogi kurczowo w dół wyciągnięte. Twarzy nie widzi, gdyż trup wisi do niego plecami zwrócony. Ogarnia go wstręt i pragnie nie patrzeć, chce odwrócić oczy. Patrzy po innych drzewach, które licznymi rzędami obrastały pagórek, malejąc w oddali. Ale wnet u gałęzi każdego drzewa aż hen do muru zawisa cień podobny do rudego wisielca. Zwraca oczy ku niebu, ale drzewa wyrastają razem z jego spojrzeniem aż pod firmament, a u gałęzi wiszą sztywne cienie z kurczowo w dół wyciągniętemi rękami i nogami. Pochylił więc głowę na piersi i dłonie położył na oczach, aby w jakiś sposób przestać widzieć.

Po niejakiej chwili usłyszał kroki człowieka, który wyszedł z przedsionka domu i dążył wolno przez gaj. Odmawiał szeptem modlitwę; wyrazy mieszały się z lekkim szmerem liści. Szedł bardzo wolno, przystawał, ale kierował się do drzewa figowego. Kroki tego człowieka i szept jego modlitwy słyszał coraz bliżej i wyraźniej; ogarnął go nowy lęk, chciał zerwać się z ziemi i uciec. Ale wtedy przekonał się, że nie leży na ziemi, ale jakby w powietrzu. Odjął dłonie od oczu, spojrzał po sobie. Ręce jego, podobne do piegowatych rąk rudego wisielca, były jednak bezbarwne, cieniste; tak samo nogi i szata, która go okrywała. Stąpania zbliżały się bardziej i bardziej. Nagle posłyszał krzyk i szybkie kroki w stronę domu, z którego wyległa gromadka ludzi. Rozmawiali bezładnie, z wymachiwaniem rąk, z wyciąganiem wskazujących palców w stronę gaju, gdzie stało skryte za innymi pniami i liśćmi owe drzewo figowe. Cała gromadka ruszyła pod górę, otoczyła wisielca; słychać było cmokanie językami, lament, krzyki; widać wznoszenie ramion pod niebo. W tej chwili poczęło zachodzić słońce, a w gaju uczyniło się mroczno. Właśnie ktoś wypowiedział jego imię, a gromadka powtórzyła je z przerażeniem. Ciemność padła na gaj. Ludzie z krzykiem uciekli w głąb domu Wtedy powstał zimny powiew i począł go unosić nad ziemią.

Powiew ten niósł go przez gaj, dokoła popielatego muru i znowu przez rzędy drzew, u których wisiały sztywne cienie. Uczyniło się straszno w onym gaju. Zdawało się, że z każdego drzewa wychodzi jęk, a liście w drżeniu swem szumiały tak, jakby je ogarniał lęk i obrzydzenie. Powiew niósł go przez dom, następnie do przedsionka; w otwartych izbach błyskały światełka lampek olejnych; ludzie chodzili wzdłuż i wszerz, rozdzierając szaty i rwąc włosy z głowy. Patrzył na nich przez chwilę, gdy wtem poniósł go powiew dalej, przez sień, na drugą stronę domu, na wązką a długą uliczkę

Cisza panowała tam zupełna, tylko z głębi domu dochodziło zawodzenie, narzekanie i płacz. Na zakręcie ujrzał tuman kurzu, a poza nim gromadkę mężczyzn, niewiast i dzieci, rozprawiających szeptem. Powiew poniósł go w inną stronę. Wszędzie widział sunące gromadki, powracające od zachodniej bramy miasta. Ci i owi idąc, oglądali się z trwogą poza siebie i milkli. Dzieci poczęły kwilić na rękach matek. Powiew niósł go dokoła czworokątnego placu, na którym gromadził się lud. Na wszystkich ustach było jego imię. Każdy wymawiał je ze zgrozą, a zarazem powtarzał imię Sprawiedliwego, który skonał w dziwny sposób i śród przerażających okoliczności. Inni powiadali, że nie skonał, tylko omdlał. Jeszcze inni twierdzili, że o zachodzie słońca zstąpił z krzyża i ruszył ze swymi uczniami przez kraj. Powstały liczne sprzeczki. Ale nadbiegli ludzie, którzy oznajmili, że napewno umarł, gdyż zdjęto go już z krzyża i złożono do grobu. Wtedy wielu się znacznie uspokoiło; inni udali się do domów, a ci, którzy pozostali na placu w cieniach nocnych, poczęli wyklinać zdrajcę, dobierając strasznych złorzeczeń.

Wtedy powiew poniósł go dalej przez ulice, place i zaułki. Blizko bramy na drodze ujrzał znowu gromadkę ludzi. Chciał ją minąć, ale powiew niósł go w tamtą stronę. Zadrżał. W pośrodku gromadki szła Matka Sprawiedliwego, z twarzą bladą jak płótno, z sine-

mi kołami pod oczyma i z źrenicami zwróconemi błędnie przed siebie. Z piersi jej dobywało się urywane szlochanie. Podtrzymywało ją dwóch płaczących uczniów, którzy się nie ulękli i z miasta nie uszli. A na obliczu Matki był taki ból, że dobrze ziemi, iż w cieniach nocy tonęła, nie widząc go. Któryś z uczniów wymówił imię zdrajcy. Z posiniałych ust Matki wybiegł ledwie słyszalny szept, którym zdrajcy przebaczała. A właśnie powiew wiatru stawił go w pobliżu. On pragnął krzyknąć, rzucić się z rozpaczą do jej stóp, objąć rękami jej nogi, a potem szlochając, pochylić głowę ku ziemi i tarzać ją w piasku. Ale był bezsilny. Powiew poniósł go dalej, a gromadka znikła w mroku nocnym.

Błąkał się z wiatrem dokoła murów miasta, wpadał przez bramy, mijając niepostrzeżenie strażników, i znowu krążył po ulicach i ogrodach. Znalazł się w ten sposób w gaju oliwnym, śród którego leżał twarzą na ziemi mąż pewien i gorzko płakał. On w chwili stanowczej ulękł się i zaparł Sprawiedliwego. Teraz ciężko płakał nad sobą. Nikogo nie winił, tylko siebie, bo upadł, bo się wyparł prawdy. Jakże kierować będzie tą kruchą nawą rybacką, kiedy za pierwszym podmuchem burzy uciekł do wygodnych, spokojnych brzegów?.. Jakże dzierżyć będzie kij pasterski, kiedy wierna trzoda rozproszyła się, kiedy jeden pocałunek zdrajcy w niwecz obrócił wszystko i kiedy wybrani poczynają nieufnie na siebie spoglądać?.. I szlochał nad sobą, nad zaprzaniem, nad Sprawiedliwym, nad wybranymi, nad zdradą.

Wiatr poruszył gajem oliwnym, a cień z powiewem płynął dalej, przez bramy, ulice, zaułki, dokoła murów i zatrzymał się w ogrodzie, w którym u grobu dziesiętnik pieczętował skałę, a rotmistrz ze swej roty ustawiał żołnierzy, mających przez całą noc czuwać przy kamieniu. Gdy dziesiętnik skończył pieczętowanie, rotmistrz zabrał swą rotę i oddalił się. Żołnierze poopierali włócznie o ściany gr. bu, zdjęli chełmy i poczęli rozmawiać. Dziesiętnik przechadzał się w zamyśleniu. Powiał zimny wiatr. Pomiędzy żołnierzami powstała mowa o zdrajcy.

I nagle zdało mu się, że niebo, ziemia, drzewa, domy, kamienie, skały i całe przyrodzenie ma usta, a na tych ustach jedno okropne imię, które jest jego imieniem. I przestraszył się tego strasznego rozgłosu, przestraszył się samego siebie przestraszył się swej duszy i zapragnął odstać od niej, zapragnął uc ec przed samym sobą.

Powiew stał się silniejszym i uniósł go z owego ogrodu, obstawionego żołnierzami. Wypłynął na pola i drogi. Ale dostrzegł w pomroce nocnej, że prąd powietrza nie porusza drzew przy drodze, nie wzbija tumanów piasku, choć staje się coraz silniejszym i poczyna rwać go jak burza. Z rozwianym włosem, z rękami nad głową i ze skrzywionem z przerażenia obliczem wisł tak w obłoku burzy nad ziemią, a ciemność dokoła stawała się coraz gęstszą i wycie wichru coraz okropniejszem. Potem rozległy się w tym wichrze świstania, nawoływania i śmiechy. Włosy poczęły mu się jeżyć na głowie. Wywrócił oczy, biegł, płynął, bojąc się obejrzeć poza siebie, gdyż zdawało mu się, że ktoś go ściga, tylko wskutek ciemności trafić za nim nie może. Pogoń była rozproszona. Świsty i nawoływania rozlegały się w różnych stronach świata. Niekiedy głosy mijały go, przecinając drogę przed nim lub za nim. Przechylił głowę w tył, nastawiając ucha, wyprężając się równocześnie, aby go burza łatwiej nieść mogła. Przez czas jakiś słychać było tylko szum wichru. Ale niebawem zauważył, że głosy poczynają gromadzić się za nim, rozlegają się wprawdzie bardzo daleko, ale już są na tropie. Teraz zrozumiał, że jakiś pościg szaleje za nim, a on uchodzi. Krzyki, poświsty, nawoływania zbliżały się ustawicznie i teraz mógł już rozróżniać głosy pochodzące od różnych postaci. Jeszcze przez chwilę łudził się, że ta głucha wrzawa poza nim nie tyczy go, że to nie pościgi i że on ucieka. Ale nagle posłyszał swoje imię. Wtedy ogarnęła go rozpacz bliska obłędu. Rzucił się ze wzniesionemi rękami naprzód, kładł się na wichrach, szalał z burzą nad ziemią, nie patrząc poza siebie, nie widząc nic przed sobą, nie myśląc, miotany strachem, okropną bojaźnią, męką i obrzydzeniem. Wtedy przycichło za nim na chwilę. Ale nagle o jakie pół stajania powstał gwar zmieszanych głosów, wrzask, świst, chichot. Wtedy wezbrał w nim gniew, gdyż zrozumiał, że przed pościgiem już nie ujdzie. Cokolwiek stać się miało, niech się stanie, byle prędzej. Przystanął, wrzawa za nim zamieniła się w wybuch piekielnej radości. Obrócił się, spojrzał — nagle wszystko ucichło, znikło. Puste nocne dale, tylko wicher dmie z wielką gwałtownością.

Pot perlisty wystąpił mu na czoło; osłabł i chciał spocząć. Ale nie mógł schylić się ku ziemi; powiew burzy niósł go dalej na polami. Zrazu uspokoił się nieco. Ale jakaś myśl spłoszyła chwilowy spokój i przejęła go jeszcze większą bojaźnią, niż przedtem. Głosy, które nagle giną w powietrzu, są zapowiedzią rzeczy ostatecznych.

Zaczął więc znowu bieżać z wichrem, rwany coraz gwałtowniejszą burzą. Jakoż po chwili ozwały się znowu szepty, zrazu bardzo daleko, ale potem coraz bliżej. Z szeptami łączyły się poświsty, nawoływania. Im prędzej płynął przez powietrze, tem bliżej i głośniej rozlegała się za nim wrzawa. Teraz słyszał już groźby, urągania. Pościg szalał za nim, pędził go w jakimś jednym kierunku i począł z dwóch stron zataczać zagony. Niebawem dosięgnie go.

Przypomniał sobie, że kiedy za pierwszym razem przystanął i obejrzał się poza siebie, wszystko ucichło i znikło. Chciał się ratować w ten sam sposób i niebawem uczynił to. Ale natychmiast przeklął swój postępek.

W chwili bowiem, gdy obrócił się poza siebie w ciemność, rozległ się piekielny śmiech, po którym nastała przerażająca cisza. Przestrzeń w górze poczęło się rozjaśniać. Rozstąpiły się chmury i ujrzał postać przybitą gwoździami do nieba. Na sinem czole korona cierniowa, a z pod każdego kolca ścieka krew. Szeroko rozwarte oczy patrzą na niego z wyrazem strasznego wyrzutu. Spiekłe, spękane usta rozchylają się i szepczą jego imię.

Nie mógł znieść tego widoku, odwrócił twarz z okropnem przerażeniem i począł uciekać. Zawyły za nim tysiączne chichoty, poświsty, groźby, przeklinania. Głosy te gnały go przez nocne przestwory, a on dysząc, jęcząc i wyjąc z bólu i bojaźni, bieżał przez dale i czuł, że ucieczka jego jest nadaremną.

Na wschodzie poczęło świtać. Teraz mógłby, obróciwszy wzrok poza siebie, ujrzeć postacie i twarze dążącego za nim pościgu. Ale bał się. Wszedł dzień słoneczny, lecz zarazem uczynił się dziw w przyrodzeniu. Dzień bowiem świecił tylko w dole na ziemi; on zaś płynął górą śród nocnych ciemności i widział tylko dzień ten przed sobą. Ludzie wychodzili z domów za swemi zajęciami. Pasterze wypędzali stada na pastwiska. Podróżni krążyli z miast do miast pieszo i na grzbietach zwierząt. Dzień, dzień słoneczny, dawny, złoty, jasny, panował znowu na ziemi, on tylko krążył w jakiejś nieprzebranej nocy, a za nim szalał ów pościg przerażający, coraz bliżej i nawołujący go, aby stanął.

Spojrzał ku ziemi. Spojrzał ku ludziom i przyrodzeniu. Przypomniał sobie, że kiedyś pędził tam w dole podobny żywot i że cichość mieszkała w jego sumieniu. Ujrzał gromadkę ludzi opylonych kurzem i przypomniał sobie, że chadzał wraz z taką gromadką za Sprawiedliwym i że błogo mu było. Aż popełnił pierwsze oszustwo. Jak się to stało? Nie pamiętał. Stało się nagle, bezwiednie, bez przepowiedni i upomnień. Nikt o tem nie wiedział, tylko on jeden. Zrazu nosił się z tą tajemnicą jak z małem brzemieniem, potem brzemię stało się dokuczliwszem. Każde spojrzenie Sprawiedliwego dotykało go jak ogień, bo jakiś wewnętrzny szept podsuwał mu myśl, że Sprawiedliwy czyta prawdę w jego twarzy. Ale Sprawiedliwy milczał, tylko od czasu do czasu patrzył. Wtedy usunął się na stronę od boku Sprawiedliwego, odłączył się od pielgrzymiej gromadki, podążał naprzód, wyprzedzał, zamawiał noclegi i pożywienie, a potem kładł się na spoczynek, kiedy inni zebrawszy się po posiłku dokoła Sprawiedliwego, słuchali z przejęciem jego słów lub składali przed nim ręce, gdy uzdrawiał cierpiące tego świata. Odsunąwszy się w ten sposób od gromadki, jął popełniać coraz liczniejsze oszustwa i doszło do tego, że worek z pieniędzmi trzeba było dobrze pod szatą ukrywać, aby nie wzbudzał podejrzenia w ludziach, którzy zrzekli się wszelkiego posiadania. Wtedy znienawidził tę gromadkę i Sprawiedliwego za to, że ich oszukiwał. Byłby może porzucił ich, ale nie znalazł sposobu. Zresztą ta sama żądza, która go odpychała, równie silnie przyciągała go do tych, których tak korzystnie i tak bezkarnie mógł oszukiwać.

Potem, gdy mu podsunięto myśl wydania Sprawiedliwego, nie wiedział, co czynić. Ulękł się. Walczył ze sobą przez kilka dni. Ale chęć zysku przemogła; a poparła ją nienawiść względem tych, których oszukiwał. Najpierw wziął nagrodę, a potem zastanawiał się jeszcze. Wtedy poczęto nalegać na niego, aby dopełnił zobowiązania. Jakże tu zedrzeć z twarzy skórę uległego ucznia? Skąd wziąć oczu do spojrzenia i palca do wskazania? Ale wykrętni ludzie pomogli mu. Ty złożysz tylko pocałunek na jego twarzy!.. Spotkali się w gaju. Żołnierze ukryli się w zaroślach. Zbliżył się do Sprawiedliwego; dziwny uśmiech wykrzywił mu twarz. Powitał mistrza, dotknął ustami jego policzka. Żołnierze wybiegli z zarośli. On uciekł.

I ucieka ciągle. Uciekł przed swoją twarzą, przed swemi oczami, uciekł z pod drzewa figowego, na którem zawiał ów rudy wisielec. Uciekł przed brzmieniem swego imienia, które było na ustach wszystkich. Uciekł przed widokiem zbolałej Matki i szlochającego w gaju oliwnym ucznia-zaprzańca. Uciekł przed widmem owej twarzy ociekłej krwią i śmiertelnym znojem. Ucieka wciąż. Pod nim mroczy się dzień, zachodzi słońce, nastaje noc; za nim rozlegają się w powietrzu wołania, świsty, chichoty. Szaleje gonitwa, nęka go głosami i widziadłami.

Trzeciego dnia o świcie poniósł go wicher do miasta, w którem wrzało od niesłychanych wieści. Tłumy biegały po ulicach, domagając się pewniejszych wiadomości. Te bowiem, które z ust do ust krążyły, przechodziły wszelkie pojęcie. On, zdjęty z krzyża i pochowany w opieczętowanym grobie, strzeżony przez żołnierzy, zniknął stamtąd, a zniknęć miał śród okoliczności, które jednym łzy z oczu wyciskały, a drugich napełniały lękiem. W całem mieście panował niesłychany zamęt, który zwiększał się z tego powodu, że ze wszystkich stron napłynęły tłumy na święta, tłumy, które o Sprawiedliwym słyszały, tu i ówdzie widziały go przemawiającego do ludu i rozpowiadały wszędzie o jego dziwnych czynach. Liczne gromady ciągnęły do onego ogrodu aby obejrzeć odwalony kamień; ale postawiono wartę i nie puszczano nikogo. Wieści poczęły tedy przybierać coraz większe rozmiary i głosić zdarzenia, którym nie powinno się było dawać wiary. Ale pomiędzy prawdopodobnem i nieprawdopodobnem przestała istnieć odwieczna granica. Zaszły rzeczy tak nadzwyczajne, że poprostu trzeba było albo niczemu nie wierzyć, albo uwierzyć na ślepo wszystkiemu. Jeżeli się uwierzyło w rzeczy najprostsze, które wszyscy widzieli i które były oczywiste, to zaraz przyłączały się do nich zdarzenia tak nieprawdopodobne, że, nie wierząc w nie, trzeba było uważać za nieprawdopodobne coś z tego, co się istotnie zdarzyło, co wszyscy widzieli i co było oczywiste.

W każdym razie jedno było pewnikiem: zdjęty z krzyża nie leżał już w grobie strzeżonym przez żołnierzy.

Natomiast w onym gaju na drzewie figowym wisiał wciąż jeszcze trup człowieka rudego i nikt nie miał odwagi zbliżyć się, aby go odciąć i pochować.

Duch tego człowieka krążąc z powiewem wiatru, znalazł się znowu w onym gaju. Ujrzał wtedy z przerażeniem, że dłużej cierpi krzywdziciel, niż skrzywdzony.

Powiew niósł go przez gwarne ulice, za miasto, na pola. Krążył, wracał, cierpiąc męki, ścigany przez ból, strach i szyderstwo.

Pewnej nocy wpłynął do przedsionka jakiegoś domu, koło którego snuły się gromadki, oglądające się podejrzliwie za każdym przechodniem. Po jakimś czasie wszyscy weszli w głąb domu, zamykając

drzwi za sobą. On wpłynął do rozległej izby, w której poczęto się gromadzić. Cisza panowała śród zebranych; niektórzy tylko szeptem opowiadali sobie najświeższe zdarzenia. Poznawał twarze i bał się, aby go niedostrzeżono. Ale chociaż ocierano się o niego, nikt głowy ku niemu nie obrócił. Nie widziano go. Jedni poczęli wzdychać, inni popłakiwać. Czekali na coś niezwykłego. A w onem długiem oczekiwaniu opuszczała ich otucha. Chwile nocy ubiegały. Nagle wszyscy oniemieli.

W pośrodku nich stanął Sprawiedliwy, odchylił szaty i ukazał rany swoje. Całe zebranie rzuciło mu się do nóg i powstał wielki płacz. Wyciągano do niego ręce, dotykano brzegu szat jego. Płacz zamienił się w ogromne uniesienie, że żyje, że jest, że spełnił, co był zapowiedział. Przysięgano mu miłość, cześć i wierność; przyrzekano czcić jego przykazania i — zachować w wiecznem przekleństwie pamięć zdrajcy...

Nagle znikło zgromadzenie, znikła izba, powiał zimny wiatr, rozległy się nad polami świsty, nawoływania, groźby i chichoty szyderczs. A on, niesiony burzą, uciekał nad ziemią, przeklinając siebie i to wszystko, co nadaremnie uczynił. Tak, nadaremnie! Teraz dopiero to zrozumiał. Skalał nadaremnie ręce, sprzedając Sprawiedliwego, skalał nadaremnie usta w zdrajczym pocałunku, skalał nadaremnie duszę. Coś w nim mówiło, że wszelka zbrodnia jest tylko jakiemś nadaremnem skalaniem się, jest męką zadaną sobie samemu. Przeklęty!... zawrzały za nim tysiączne głosy... Przeklęty! szeptało coś w nim samym.

Ale zarazem uczuł, że stało się coś tak potwornego, czego nie mógł był rozumem swym przewidzieć. Zdało mu się, że istotnie nie wiedział, co uczynił; że gdyby był tę prawdę pierwej poznał, nie byłby się na nią targnął. Sprawiedliwy tylko patrzył i czekał. A on działał i dążył jak człowiek o jednem oku, który połowy świata wedle siebie nie widzi. A kiedy skręcił w stronę swojej ślepoty, wpadł w otchłań.

Zaledwie to wyrozumiał, kiedy poczuł, że wiatry się uciszyły i że stopy jego kroczą znowu po ziemi. Nie słyszał także za sobą owych głosów w powietrzu. Czuł się innym człowiekiem, nieznanym sobie samemu.

Szedł przez jakiś obcy kraj. Słońce gorzało w południowej stronie nieba, a na polach mgliła się cisza upalna.

Był bardzo zmęczony i senny. Siadł na kamieniu i odpoczywał.

Wtedy ujrzał przed sobą na drodze zbliżającego się człowieka. Stopy, szaty i oblicze onego męża były zapylone szarym kurzem. Szedł zdaleka i dążyć musiał daleko, bo ani na chwilę nie przystawał.

Lecz spostrzegłszy siedzącego na kamieniu, skierował ku niemu swe kroki i zwrócił na niego swe jasne oczy.

Przeklęty przypatrywał mu się i pragnął sobie przypomnieć, czy go kiedy już nie widział. Ale czynił to nadaremno. Przytem zauważył, jakoby poczynał myśleć nie swojemi myślami i sięgał nie do swojej pamięci.

Wtedy ów nieznajomy mąż powitał go, a Przeklęty patrząc na niego błędnemi oczami, zapytał:

— Żali mnie znasz, obcy człowieku?

— Nie znam cię — odparł tenże — ale i ty siebie nie znasz.

Przeklęty rozejrzał się dokoła wzrokiem człowieka budzącego się z długiego snu, a ów nieznajomy mąż mówił dalej:

— Żali pamiętasz, jak cię zowią?

Przeklęty zawahał się, bo istotnie nie mógł sobie żadnym sposobem przypomnieć swego imienia. Nieznajomy mąż przemówił znowu:

— Strudzony jesteś pielgrzymką i cierpieniem. Zapomnij o trudach i cierpieniu, a pójdź moim śladem.

A gdy Przeklęty patrzył na niego, jakby słów tych nie rozumiał, przemówił jeszcze ów nieznajomy mąż w te słowa:

— Żali nawet pamiętasz, iż znużyłeś się i cierpiałeś. Żali pamiętasz, czyś żył kiedykolwiek i działał?

Po chwili zaś dodał:

— Co pamiętasz jedynie? Czego jedynie pożądasz?

— Być jakimś innym! — zawołał Przeklęty i pochylił mu się do nóg.

To jedno wiedział, to czuł i pamiętał.

Wtedy ów nieznajomy mąż położył rękę na jego głowie, łza stoczyła mu się z policzków i padła na kasztanowate włosy klęczącego. Cichość była na polach, jeno nad głową przyklękłego rozległy się słowa tajemnicze, ale dziwnie łagodne:

— Żyj i odradzaj się ciągle, boś jest człowiek, który dąży. Po każdym czynie nastąpi zrozumienie tego czynu. Więc patrzaj, abyś za każdorazowem odrodzeniem się mniej prawdę sprzedawał.

Słowa przebrzmiały w ciszy upalnej. Przeklęty podniósł oczy. Ale onego nieznajomego męża już nie było na drodze.

Na dobry uczynek nigdy nie jest zapóźno.

Czy spełniłeś już obowiązek obywatelski, biorąc udział w akcji pomocy zimowej dla bezrobotnych?

Armin Stein (H. Nietschman). (75)

Książka o Doktorze Luterze

Przełożył z niemieckiego M. Winkler.

Podczas kiedy ci dwaj przemawiali się jeszcze z sobą, wszedł mistrz Piotr, cyrulik, który od szeregu lat Doktorowi Marcinowi brodę golił. Człowieczek ten drżał na całem ciele i z trudem tylko wybełkotał: „Co to będzie, panie Doktorze? Tej nocy legło pięć osób, wszyscy w najbliższym Waszym sąsiedztwie, przy bramie Elsterskiej".

Melanchton zbladł i nie mógł słowa wymówić, podczas gdy Luter ostro na niego spojrzawszy rzekł: „Widzisz zatem, kochany Filipie, że już teraz jestem potrzebny miejskiemu proboszczowi".

Melanchton już sobie więcej trudu nie zadawał z namawianiem przyjaciela i pośpiesznie się z nim pożegnał.

Kiedy mistrz Piotr dzieła swego dokonał, twarz Lutera w trzech miejscach krwawiła, to trzęsąca się ręka tego tchórzliwego człowieka straciła swą pewność i potknęła się.

Zaraza szerzyła się szybko; następnego dnia notowano już osiemnaście wypadków dżumy, i Luter wraz z Bugenhagenem i kapelanem tegoż, magistrem Rörerem mieli roboty wbród.

Od księcia nadeszło pismo, zawierające łagodne polecenie udania się wraz z żoną i dzieckiem wślad za drugimi profesorami do Jeny, gdzie bez niego, tak głosiło pismo, uniwersytet tamtejszy nie może sobie dać rady w potrzebach codziennego głoszenia Słowa Bożego i udzielania Sakramentów.

Posłańcowi wręczył Luter zaraz odpowiedź swoją. Pozostał przy raz powziętym postanowieniu i wyłożył księciu w pokorny lecz stanowczy sposób swoje powody odmowy.

W napół opróżnionem mieście zapanowała przerażająca cisza. Trwoga sparaliżowała wszystko. Serca drżały od strachu, a strach był najgorszym pomocnikiem zarazy, bojaźliwi bowiem pierwsi padli jej ofiarą. Nie brakowało jednak i takich, którzy uparcie wierzyli w fatalizm, i kusząc Pana Boga gardzili środkami zapobiegawczemi, powiadając że takowe i tak nic nie pomogą, jeśli śmierć im jest przez los przeznaczona, jeśli zaś żyć mają, to one są wszak zbyteczne. Znów inni, zabobonni, wmówili w siebie, że pozbędą się choroby jeśli nią innych zarażą. Zdarzało się też nieraz, że chory wbiegał do nietkniętego jeszcze zarazą domu, ażeby zarażając w nim kogoś, złość swą na nim wywrzeć. Wogóle, uczucie ludzkości zamierało zupełnie: każdy myślał tylko o sobie, o drugich wcale nie pytał: mąż żonę, matka dziecko swe, jeśli zachorowały, opuszczali spokojnie, byle siebie ochronić i ratować. I wkrótce zabrakło nietylko już pielęgniarek dla chorych, ale także tragarzy do noszenia trupów i grabarzy do grzebania umarłych. Były to okropne czasy.

Bugenhagen dziękował Bogu, że prócz wiernego Rörera i Luter przy nim pozostał. Od niego mogli się uczyć, jak zachować mężną odwagę, pielęgnować chorych, pouczać niezarażonych jeszcze. Gdzie on się zjawił, tam zdawało się, że anioł zstąpił z nieba. Nie lękał się zadżumionym pot wycierać z czoła, poprawiać ich na łóżku i ulżyć im konanie. Na jego rękach wyzionęła ducha żona burmistrza Tilo Dene'a. Nikt też nie potrafił tak jak on przygotować kogoś na śmierć pokutujących pocieszać.

Całusieńki Boży dzień zajmowało mu duszpasterstwo, co pod tym względem zdziałał, to przechodziło siły jednego człowieka. A jednak i tego mu jeszcze było mało: gdzie mu tylko odrobinka czasu wolnego pozostała, zaraz siadał i pracował, napisał do chrześcijan w Halli list, pocieszając ich w smutku po śmierci Winklera, zamordowanego podstępnie rzymskim sztyletem, kaznodzieję Ewangelicznego, pracował nad wykładem proroka

Ks. Banszel.

Zabawy dzieci

Z teki pedagoga.

II.

3. Zabawy psychologiczne.

Są to zabawy takie jak loteryjka, domino, dorabianie rymów, zagadki, rebusy, szarady, zmyślanie opowiadań, bajek, rysunki, modelowanie i t. d.

Do zabaw psychologicznych zalicza się ciekawość. Wiemy z doświadczenia, jak ciekawym jest dziecko. Ustawicznie pyta się o najrozmaitsze rzeczy. Nie tylko pyta ono, — wszędzie musi swój nosek wścibić, chce poznać mechanizm zegarka, chce wiedzieć, czem porusza się auto Dowiaduje się, kto szyje aniołkom sukienki, w jakich łóżeczkach śpią, co jedzą i z czego i czym. Starsi, których dzieci — jak być musi — zamęczają swemi pytaniami, karcą je, mówiąc, że ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła. Tymczasem ciekawość dziecięca — oznacza niepowstrzymaną dążność do poznania rzeczy, do wytłumaczenia zjawisk. do zgłębienia prawdy. Dziecię nie rozumie poszczególnych zjawisk, nie zna przyczyn i skutków, dlatego nie potrafi sobie wytłumaczyć, jak i co i dlaczego, z tego powodu uznając swą bezsilność, ucieka się do starszych o pomoc. Niestety — z przykrością to stwierdzamy — starsi najczęściej nie mogą dać dzieciom wystarczającej odpowiedzi na ich pytania, co odbija się fatalnie na ich rozwoju. Dziecię bowiem, nie otrzymawszy odpowiedzi na trapiące je pytanie, a nawet ofuknięte, traci zaufanie i przestaje się pytać. Bo i poco. Zamknie się w sobie— to znaczy—stłumi w sobie popęd do wiedzy i ciekawość swoją skieruje na niewłaściwą i niebezpieczną dla niego drogę.

4. Zabawy zapaśnicze.

Polegają one na walkach cielesnych i umysłowych. Chęć okazania swej siły fizycznej i przewagi umysłowej przyświeca tym zabawom. Do zabaw tej kategorii należą: mocowanie się, szachy, tenis, koszykówka, wspinanie się na góry. Im więcej przeszkód, im więcej przeciwności, tym więcej ma młody zadowolenia. Tak wyraża to jeden z młodych:

Szczyt górski wabi szerokim oddechem, lecz tam ciernie i skały, krwią stokroć ociekniesz, nim stopa twa dumnie ukorzy go, a z piersi wydrze się okrzyk zwycięski, który jak grom zagrzmi: zdobyłem. — Po kamienistej ścieżce zdobywania niech wiodą drogi nasze.

5. Zabawy w łowy.

Tu wymienić należy zabawy, jak: gonitwę, grę w chowanego, chwytanie much, motyli, owadów, zrywanie kwiatów, liści i t. p. Do tej kategorii zabaw zaliczamy popęd, przeradzający się czasem w manię, gromadzenia czy zbierania kolekcjonowania różnych rzeczy, n. p. marek, kartek pocztowych z widokami, motyli, owadów. W kieszeni dziecka — mówi Clapared — znajdziemy prawdziwe muzeum okazów: małe, białe kamyczki, marki, bilety tramwajowe, muszle, stare gwoździe, papier posrebrzany, korki, gumy — wszystko to zwróciło uwagę malca — i zostało starannie przechowane.

6. Zabawy towarzyskie.

Do tego rodzaju zabaw zaliczamy wspólne wycieczki dzieci, organizowanie przez nie — często tajnych — kółek z prezesami, sekretarzami. Zresztą i inne już wymienione rodzaje zabaw mają charakter zabaw towarzyskich.

7. Zabawy rodzinne.

Są to zabawy, których pobudką jest instynkt ma-

Zacharjasza, prowadził dalej polemikę z sakramentarzami i dawał wyczerpujące objaśnienia na rozliczne zapytania wizytatorów. Pozatem miewał regularne prelekcje dla nielicznych, pozostałych w mieście studentów i wygłaszał kilka kazań na tydzień w kościele miejskim.

Dawniej jeszcze często mawiał: „Dziękuję Bogu za to, że mi dał pomocnicę" — lecz teraz dopiero mógł szczęście to w pełni ocenić, gdyż u boku jego stała jego żona, kobieta silna, współzawodnicząc z nim w uczynkach miłosierdzia i troskaniu się około niedoli bliźniego. Także do domu proboszcza miejskiego wdarła się dżuma. Magister Rörer musiał oddać żonę swą wraz z dzieckiem, którem go tylko co obdarzyła; wtedy pani Katarzyna otworzyła gościnnie drzwi swego domu dla przyjęcia wdowca wraz z całą rodziną Bugenhagenów. Także pannie Małgorzacie Mochau, która szukając schronienia zapukała do drzwi, nie odmówiono przyjęcia, również lekarz Augustyn Schurf się nie zawiódł, kiedy pewnego dnia przyszedł z prośbą: „Przyjmijcie moją żonę do was, pani Doktorowo".

Po kilku dniach wystąpił tej ostatniej na nodze wrzód podejrzany. Położono ją do łóżka i pielęgnowano starannie. W trakcie tych zabiegów koło niej i panna Mochau także poczęła niedomagać. Obydwie zachorowały oczywiście na dżumę, i pani Katarzyna, która sama ledwo na nogach się trzymała, musiała teraz ustawicznie biegać od łóżka do łóżka.

Nadeszła teraz i dla Lutera, tego mocarza, chwila słabości. Patrzał na żonę swą, której z każdym dniem ubywało, i widział synka, że niemal w oczach ginie. Wtedy wszedł do komórki swej i zamknął za sobą drzwi. Upadł na kolana i w żarliwej modlitwie, na podobieństwo praojca Jakóba, zmagał się z Bogiem swoim przez calutką noc, aż kiedy zorza poranna ukazała się na niebie.

A skoro nastał dzień, weszła pani Katarzyna z wesołem obliczem i rzekła: „Cieszcie się wraz zemną, najdroższy panie Doktorze — Pan Bóg tej nocy cudu dokonał: obie chore nasze dziś lepiej się czują, a i Janek nasz poczyna znów pokarm przyjmować".

Wtedy Doktór Marcin powtórnie splótł ręce do gorącej modlitwy przepełnionego wdzięcznością serca. „Chwała Tobie Panie, i błogosławione Święte Imię Twoje. Tyś dokonał wielkich rzeczy nad nami. Gdzież taki Bóg, który jest większy niż nasz Bóg? Tyś Bóg, który może cuda czynić, Tyś moc Swoją objawił narodom. Do Ciebie Panie wzniosłem głos mój, do Boga mego podniosłem głos mój. a On mnie wysłuchał, Alleluja!"

I oto zdrowie obydwu kobiet poprawiało się szybko, tak iż wkrótce już mogły usłużnością swą odwzajemnić się pani Katarzynie, która dla odmiennego stanu swego potrzebowała troskliwej pielęgnacji.

Nadeszła jesień, oczyszczając powietrze, i śmiertelność się zmniejszała, nadeszła zima i mróz siarczysty złamał ostatecznie potęgę zarazy. A 10 grudnia stał Doktór Marcin u łoża połowicy swojej i składał Bogu podwójne dzięki. najpierw za uratowanie życia swojej Katarzyny, a następnie za darowane mu nowe życie, bowiem trzymał przed oczyma Janka, który tymczasem już zupełnie wyzdrowiał, siostrzyczkę, mówiąc: „Janeczku, Pan Bóg ci zesłał towarzyszkę zabaw."

Poczem, uścisnąwszy rękę wiernej ciotce Lenie, rzekł jeszcze: „Pan Bóg dokonał cudu nad nami i ukazał nam szczególną łaskę: bo oto w tak wielu domach naszego miasta zmniejszyła się liczba mieszkańców, a w naszym powiększyła się jeszcze. U nas Pan Bóg bronił zarazie wstępu do domu, a pozwolił jej tylko wstąpić w trzodę. Jakżeż mało wymagającym okazał się dla nas anioł dusiciel, skoro od nas w daninie zaledwie pięć prosiąt zażądał."

Uciekinierzy powrócili z powrotem i nie mogli wyjść z podziwu, gdy ujrzeli Doktora Marcina: opuścili go złamanym i upadłym na duchu, a zastali zdrowego i mocnego.

W kościele zgromadzili się parafjanie, i usłyszeli znów jak dawniej ukochany głos proroka i chwalili Boga, że im zostawił tego człowieka.

cierzyński lub instynkt rodzinny. Dziewczynki bawią się lalkami, chłopcy i dziewczęta bawią się w „tatę i matkę". Odgradzają wtedy część pokoju i urządzają ten „pokój ojca" po swojemu. Lalki są ich dziećmi. Wspólnie się zastanawiają, jak je wychowywać, czy je ukarać.

8. Zabawy naśladowcze.

W walkach naśladują dzieci Indian. W domu wykonywują ruchy i naśladują głos psa, małpy. Ubierają się w czarną suknię, naśladując w ruchach i mowie księdza i t. d. upodobniając się do tego, co uważa za wyższe i doskonalsze od siebie. Normalne dziecko naśladuje to, co leży w interesie jego doskonalenia się.

Pozwólmy dzieciom bawić się. Wespół z nimi bawmy się i my starsi czy starzy. Pomagajmy i zachęcajmy je do zabawy. Nie wstydźmy się pobawić się z dziećmi. O Temistoklesie, mężu stanu w Atenach — (pisze wielki pedagog Jan Amos Komeński w swej „Szkole macierzyńskiej) — opowiadają, że pewnego razu przybył doń młody wytworny szlachcic. Spotkał Temistoklesa w pokoju razem z synem się bawiącego. Zdziwił się mocno, że tak sławny człowiek tak dziecinnie się zachowuje, bawiąc się z dzieckiem. Temistokles prosił go, by nikomu nie mówił, czego był świadkiem, póki sam nie będzie miał dzieci. Nie chodzi o to — zauważa Clapared — aby dziecku starsi narzucili podczas zabawy cel niepożądany, ale o to, aby mu dopomóc w znalezieniu tego, do czego samo dąży. W zabawach zbiorowych dorosły będzie snadniej mógł ustalić zasady gry, wyznaczyć grupy i t. d. i uchronić dzieci od straty czasu, sprzeczek, które towarzyszą często początkom zabawy, gdy dzieci są same.

W ten też sposób starsi mogą wpłynąć na moralny poziom zabaw.

Podam przykład. W książce p. t. Szkoła Niedzielna, wydanej w przekładzie polskim przez Kościół metodystyczny w Polsce, czytamy na stronie 92: Nauczycielka grupy młodszych chłopców zauważyła, że jej uczniowie lubią grać w „ciupy". Następnie dowiedziała się, że grają na pieniądze i że, podnieceni grą, często wymyślają sobie wzajemnie. Poczęła rozmawiać z chłopcami o grze w „ciupy", wypytywać ich o zasady gry i wreszcie zaproponowała, by ją jej nauczyli. Pusty plac w pobliżu mieszkania nauczycielki został oczyszczony i przygotowany do gry. Przychodząc często na plac i bawiąc się z nimi, miała możność wywierania wpływu na zachowanie się ich tak, że w rezultacie przestali grać o pieniądze i odzwyczaili się od wymysłów. Powtarzanie przez cały rok w Szkole Niedzielnej morałów o szkodliwości gry w ciupy o pieniądze i używaniu słów nieprzystojnych nie dałoby ani połowy takich wyników, jak przychodzenie na plac gry w dni powszednie i bezpośrednie obcowanie z chłopcami. Czyż można przypuszczać, że nauka, udzielana chłopcom w czasie gry, nie miała charakteru prawdziwej nauki religii.

Czy jednak nasze stanowisko da się utrzymać z punktu widzenia ściśle religijnego? Jesteśmy przekonani, że wrodzony popęd dzieci do zabawy pochodzi od Boga. Podczas zabawy dziecię działa, nie zwracając na nic innego uwagi. Całe jest pochłonięte zabawą. Po szczeblach zabawy dziecko posuwa się coraz to wyżej, systematycznie i samorzutnie przygotowuje się mimowoli do wyższego życia, do rozszerzenia swego horyzontu, do poznania prawdy. A czyż celem religii nie jest poznanie prawdy? Poznajcie prawdę, a prawda was wyswobodzi. Ta dążność dzieci do coraz to doskonalszego działania świadczy o tem, że ich zabawy idą po linii woli Bożej. Ojciec mój działa i ja działać muszę — wyznaje Chrystus.

Może w zabawie dziecka ujawnia się instynktowna tendencja do współdziałania z Bogiem. Bóg rzekł do pierwszych ludzi: Czyńcie sobie ziemię poddaną. Tym wezwaniem chciał z pewnością powiedzieć: Chciejcie natężyć i nasilić i coraz więcej udoskonalić wszystkie siły ducha i ciała, przezemnie wam dane, by zapomocą działania waszego cały świat stał się doskonałym wyrazem tego, czem on według woli Mojej być powinien.

Popęd do działania więc — to Boży w młodym człowieku pierwiastek. I dlatego to dziecko musi działać, bo taka jest natura jego. Nie usiedzi na długo cicho, chyba że niedomaga pod względem fizycznym i duchowym. Jak na wiosnę zdrowe drzewo zazielenić się i kwitnąć musi, jak ze źródła górskiego woda wytryskać musi, tak dziecię żywotność swą w zabawie manifestować powinno.

W 11-y rok istnienia Stowarzyszenia Polskiej Akad. Młodzieży Ewang. w Poznaniu

Celem niniejszego artykułu będzie przedstawienie szkicu historycznego powstania i rozwoju Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Akademickiej wyznania ewangelickiego na terenie polskiego zboru ewangelickiego w mieście stoł. Poznaniu. Właściwych początków tej organizacji należy szukać bardzo wcześnie, bo w założonym przed tym Stowarzyszeniu Polskiej Młodzieży Ewengelickiej już w roku 1922, to znaczy w dwa lata po powstaniu i założeniu polskiego zboru w tym mieście, — pierwsze bowiem nabożeństwo luterskie w języku polskim było odprawione po blisko 304-letniej przerwie, w pierwsze święto Wielkiejnocy 4.IV.1920 r. Zorganizowanie się młodzieży ewang. studjującej na tutejszym Uniwersytecie nastąpiło w roku 1936, — i jak świadczą księgi protokółu, ta nowa organizacja wyłoniła się z poprzedniego stowarzyszenia i ideowo korzeniami swymi tkwi niejako w tamtej, zastępując ją dzisiaj, gdyż młodzież nieakademicka swego związku własnego nie ma,— co się tłomaczy jej znikomą ilością — a jest tylko gościem zawsze mile widzianym wśród braci studenckiej. Działalność stowarzyszenia, które liczbowo zawierało się w liczbie kilkunastu osób, jest na początku skromna i zajmuje się stworzeniem podstaw organizacyjnych, korzysta przy tym ze światłych rad starszyzny zborowej, pośród której kilku zostaje zaszczyconych członkowstwem honorowym. I tak na członków honorowych Stowarzyszenia zaproszono: — obecnego proboszcza polskiego zboru w Poznaniu i sen. diecezji Ks. G. Manitiusa, który staje się odtąd duchowym opiekunem organizacji, — Ks. K. Banszla, Ks. K. Kotulę, prof. Hauptmanna, p. Krzywonia, zmarłego przed kilku laty prof. U. P. Namysłowskiego, który szczególnie był lubiany przez ogół młodzieży akademickiej i co trzeba podkreślić, był on pierwszym kuratorem Stowarzyszenia z ramienia Uniwersytetu Pozn., — członkiem honorowym zostaje też prof. Jonscher, prorektor U. P., sprawujący obecnie funkcję kuratora. Prezesem pierwszego Zarządu był p. Jeske. Nie mając swego własnego lokalu, ani też zborowego, zbierano się w mieszkaniach członków zboru na początku u pp. Braeunіżów, a później korzystano z gościnnych zawsze progów pp. prof. Hauptmannów i innych. Jaki rygor panował na tych zebraniach, świadczy o tym wniosek kol. Braeunіżanki, aktualny także dla dzisiejszych zebrań, a brzmiał on w swej redakcji tak: „Członkowie Zarządu, spóźniający się ponad 15 minut na posiedzenia, wpłacają do kasy Stowarzyszenia 50 groszy tytułem kary. Przepis ten obowiązuje także i w stosunku do tych członków Zarządu, którzy bez dostatecznych powodów na posiedzenia wogóle nie przybywają".

Pierwsze Walne Zwyczajne Zebranie Stowarzyszenia odbywa się dnia 24.XI. 1926 r. w sali zborowej przy kościele staroluterskim na Ogrodowej. Gromadzi ono około 20 osób. Przewodniczący kol. Hauptmann. Ze sprawozdania prezesa Jeskego widać, że pierwszy okres pracy od 5 lutego tego roku był bardzo skromny. I tak już idzie dalej! Załatwia się takie sprawy, jak legalizację Stow., wywieszenie tablicy na terenie Uniwersytetu, mają miejsce pierwsze odczyty, pierwsze impre-

zy dochodowe, bo przecież trzeba było stworzyć fundusz pożyczkowy dla biedniejszych członków i t d. Ten tok pracy cichy i niewidoczny dla oka, ale zawsze stosunkowo żywy idzie naprzód, a młodzież z różnych miast i z różnych środowisk zbiera się razem i korzysta z opieki, jaką roztacza Stow. Należy wspomnieć, że o ile chodzi o imprezy w rodzaju tańcujących herbatek, to nie urządzano ich jeszcze tak jak dziś, w wielkiej sali Hotelu „Polonia", ale temu celowi służyły mieszkania prywatne, przeważnie pp. Krzywoniów, — tam to nie tylko się bawiono, ale i poznawano ze starszym społeczeństwem, o co dzisiaj tak jakoś trudno.

Warto zanotować poważniejszy krok pracy Zarządu, który na zebraniu owym w dniu 24 I. 1927 r. uchwalił na wniosek kol. Fiszkala, dzisiaj inż. — leśnika i asyst. U. P., ciągle czynnego członka Stow., — powołać do życia następujące sekcje, mianowicie: krajoznawczo-wycieczkową, referatową, towarzyską, które odtąd rozwijają swą działalność. Ujmuje zaś swym uczuciem patriotycznym inny wniosek kol. Renca, który na jednym z zebrań Zarządu w roku 1928, proponuje: aby wysłano listy do wszystkich zborów ewang. w Polsce z prośbą o przysłanie nazwisk oraz krótkich życiorysów tych Ewangelików Polaków, którzy się poświęcili dla dobra kraju, czy to w powstaniach, czy na wojnie, czy też pracując społecznie, a to celem wydania odpowiedniej broszury". Tyle wniosek! Wrócono później do tego, jakże bardzo chwalebnego zamiaru; poparł go gorąco na jednym zebraniu kurator Stow prof. Namysłowski, wybrano nawet specjalną komisję, którąby się zajęła zgromadzeniem odpowiedniego materiału historycznego, ale i na tym się niestety wszystko skończyło, czego bardzo żałować należy. Może obecnie studiująca młodzież akademicka jeszcze do tego tematu i zamiaru powróci! Bo myśl jest piękna i szlachetna. Należy jeszcze podkreślić, że Stow. w przeciągu tych 11 lat swego istnienia, zawiązało kontakt z bratnimi organizacjami innych miast, m. in. z warszawską „Filadelfią". Zapoczątkowana została także bibliotoka z czytelnią pism kościelnych polskich. Oczywiście dzisiaj młodzież pracuje już w lepszych, jak dawniej warunkach, bo przede wszystkim korzysta z lokalu zborowego we własnym domu polskiego zboru ewang. ul. Kosaka 18. Zainteresowano się też zjazdami młodzieży ewang. i każdorazowo wysyłani bywali delegaci Stow. do miast, gdzie się one odbywały. Przy tym wszystkim dziwnym zbiegiem okoliczności, — przynajmniej dla piszącego — Stow. jakby zapomniało obchodzić swoje 10-lecie, które przypadało w ubiegłym roku. A szkoda! Byłby to moment, aby zbliżyć młodzież z sobą, pogłębić więź ideową, oraz zainteresować sobą starsze społeczeństwo. Obecnie nowy Zarząd z prezesem Sommerfeldem na czele, zabiera się energicznie do pracy.

Zaproszono i oddano w opiekę kierownictwo nowej sekcji religijno-etycznej ks. kapl. Świtalskiemu, której zebrania będą się regularnie odbywać raz na dwa tygodnie, — dalej postanowiono wprowadzić stałe podwieczorki akademickie w każdą niedzielę popołudniu, składać się one będą z części literackiej i towarzyskiej, następnie projektowanych jest cały szereg wycieczek krajoznawczych po Poznaniu i okolicy. Pierwszą taką wycieczkę wspólną już urządzono na wystawę prac malarskich Wojciecha Kossaka. Powzięto też zamiar rozszerzania ram wszystkich imprez, odczytów, wycieczek, przez zapraszanie do udziału w nich także i młodzieży nie studiującej, jako gości, aby w ten sposób wypełnić częściowo brak istnienia osobnej dla nich organizacji. Wobec całego szeregu zamierzonych posunięć Zarządu, należy mieć nadzieję, że ogólnie oczekiwane ożywienie tej tak bardzo ważnej placówki stanie się faktem dokonanym.

X. K. Ś.

Złóż ofiarę na Pomoc Zimową!

Wiadomości z kościoła i ze świata

Z POZNANIA. Osobiste. Ks. Kapelan Karol Świtalski, proboszcz wojskowy O. K. VII. dekretem Pana Prezydenta i Pana Ministra Spraw Wojskowych z dn. 19.III. b. r. mianowany został Starszym Kapelanem w stopniu majora.

WIZYTA Z BUDAPESZTU. Przyjechali z Budapesztu do naszego miasta na kilkunastodniowy pobyt ks. Lajos Kalmar i p. Ilona Bódiss. Ks. Kalmar jest generalnym sekretarzem towarzystwa młodzieży węgierskiej wyzn. ew.-reform.: Soli Deo Gloria i współpracownikiem czaspisma młodzieży akademickiej tego wyznania. Panna Bódiss pracuje wśród akademickiej młodzieży żeńskiej i jest kierowniczką jednego z internatów dla tej młodzieży.

Goście zetknęli się z naszą młodzieżą polsko-ewangelicką w ub. r. podczas wycieczek akademickich do Węgier nad jezioro Balaton i podczas konferencji młodzieży państw Środkowej Europy w Budapeszcie. Wizyty te wzbudziły wśród młodzieży węgierskiej zainteresowanie się Kościołem Ewangelickim w Polsce. Goście pragną poznać obydwie parafie ewangelickie w naszym mieście i ich instytucje, a przede wszystkim pragną poznać naszą młodzież i zadzierzgnąć węzły przyjaźni.

Ks. Kalmar odprawi podczas świąt nabożeństwo w kościele reformowanym, a w naszym wygłosi kazanie na nabożeństwie niemieckim w przewodnią niedzielę. W czwartek 1 kwietnia będzie wraz z p. Bóddiss gościem Towarzystwa Młodzieży Ewangelickiej (Plac Mirowski 4.) i wygłosi o godz. 8-ej wiecz. odczyt o kościele ewangelickim na Węgrzech i o stowarzyszeniu, którego jest generalnym sekretarzem.

Serdecznie witamy miłych gości bratniego wyznania. Mamy nadzieję, że nie tylko młodzież, lecz i starsi członkowie parafii zainteresują się nimi i licznie się stawią na odczyt i na nabożeństwo. Odczyt będzie przełożony i na język polski.

JUBILEUSZ SŁOWACKIEGO PROBOSZCZA EWANGELICKIEGO. Cała Słowacja w tych dniach obchodziła uroczyście jubileusz siedemdziesięcioletniego proboszcza ewang. ks. Samuela Valaszka z Myjawy, który pochodzi z niezmiernie zasłużonej dla kościoła luterskiego i narodu słowackiego rodziny słowackiej. W latach studenckich już mienił się słowianofilem. Położył wielkie również zasługi na polu organizowania spółdzielni rolniczych i kształcenia młodzieży wiejskiej.

Od Administracji

Uprzejmie prosimy Szanownych Prenumeratorów, którym zbywają następujące numery „Głosu Ewangelickiego": R. 1925 — 5—6—7—14—25—29—33—36—41—45. R. 1932 — 2—7. o łaskawe nadesłanie do Administracji — Warszawa, Puławska 4. Koszt przesyłki odliczymy z prenumeraty.

Ofiary

Firma F. A. i G. Pal przeznacza zł. 600.— na następujące cele, w związku z nadchodzącymi świętami Wielkiej Nocy:

1) na Dom Starców w Warszawie zł. 100,— 2) na Dom Sierot w Warszawie zł. 100.— 3) do dyspozycji Komitetu Pań Opiekunek Nad Ubogimi zł. 200.— 4) na Dom Sierot i Starców we Włocławku zł. 200.—

Na Wielkanoc na jajko dla żołnierzy zł. 5 i na pomoc zimową zł. 5. — Razem zł. 10. — złożyła bezimiennie Ewangeliczka.

Wiadomości statystyczne urzędu parafialnego

Ochrzczono: 1 chłopca i 1 dziewczynkę.

Ślub zawarli: Bolesław Niżyński (r-k) z Pelagią Stępniewską ur. Zykus (e-a).

Zmarli: Ewa Wacker z d. Schirle l. 65; Wilhelm, Agaton Maass l. 75; Gustaw Rau l. 30; Helena, Maria Schlicke z d. Scholtze l. 77; Henryk Kiesler l. 23; Helena Schmidt z d. Krüger l. 63; Adela, Paulina Bautz z d. Scholy l. 29; Reinhold Spring l. 43; Eugenia Brentel l. 42.

Porządek nabożeństw.

w kościele parafialnym przy ul. Królewskiej.

Dnia 28 marca, I Święto Wielkanocne.

godz. 9 rano nabożeństwo w kaplicy szpitalnej Ks. Rüger.
„ 9.30 „ „ w jęz. niemieckim w kościele Ks. Loth.
„ 11.30 „ „ główne w kościele Ks. Michelis.
„ 10.30 „ „ w „Tabicie" w Skolimowie Ks. Hławiczka
„ 9 „ „ w Grochowie (ul. Osiecka) Ks. Wittmeyer.
„ 11 „ „ na Nowym Bródnie Ks. wik. Wittmeyer
„ 10.30 „ „ w Tworkach Ks. Rüger.
„ 11.30 „ „ w Pruszkowie Ks. Rüger.
„ 11.30 „ „ we Włochach Ks. Krenz.

Dnia 29 marca, II Święto Wielkanocne.

godz. 9 rano nabożeństwo w kaplicy szpitalnej Ks. wik. Wittmeyer.
„ 11.30 rano „ główne w kościele Ks. Rüger.

Dnia 1 kwietnia 8 wiecz. nabożeństwo biblijne (sala konf.) Ks. Krenz.
Dnia 2 kwietnia 9 rano nabożeństwo komunijne.

W Ewang. Kościele Garnizonowym
(Puławska 4)

Dnia 28 marca, I Święto Wielkanocne.
Nabożeństwo główne o godz. 10-ej rano — Ks. Senior Gloeh.

Dnia 29 marca, II Święto Wielkanocne.
Nabożeństwo o godz. 10-ej rano — Ks. Senior Gloeh.

Zaraz po nabożeństwie odbędzie się przyjęcie Wielkanocne dla żołnierzy i dla dzieci ze Szkółki Niedzielnej w sali przy Kościele, urządzone przez Koło Opieki nad Żołn. Ew.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie.

od dnia 28. III. do 3. IV. 36 r.

Niedziela dn. 28.III. 1937 r. 8.00 Audycja 9.00 Transmisja 10.30 „Muzyka instrumentalna" 12.03 „Wesołego jajka" 14.15 Audycja 14.35 Polska Kapela Ludowa 15.35 Słuchowisko 16.15 Koncert solistów 17.15 Muzyka taneczna 19.05 Płyty 20.00 Chór Dana 20.30 „Kuranty staroświeckie" 21.05 „Rycerskość wieśniacza" — opera 22.35 Muzyka taneczna.

Poniedziałek dn. 29. III. 1937 r. 8.00 Audycja 9.00 Transmisja 12.03 Poranek muzeczny 14.35 Gawęda 14.50 Wodewil lwowski 16.00 Muzyka polska 16.30 Słuchowisko 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.10 Recytacje prozy 19.30 Transmisia do Londynu 20.00 Płyty 21.15 Recital skrzypcowy 21.45 Muzyka taneczna.

Wtorek dn. 30. III. 1937 r. 6.30 Audycja 12.03 Ludowe tańce polskie 15.15 Orkiestra 16.30 Zespół mandolinistów 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 Koncert kameralny 18.50 Tydz. Propagandy Pomorza 19.00 „Dyskutujmy" 19.20 Muzyka lekka 20.00 Rozmowa muyyka 20.15 Chóry pomorskie 21.00 „Żarty muzyczne" 21.45 Płyty dla znawców 22.00 Szkic literacki 22.35 Muzyka taneczna.

Sroda dn. 31. III. 1937 r. 6.30 Audycja poranna 12.03 Orkiestra P. R. 15.15 Trio salonowe P. R. 16.10 Obrazek słuchowiskowy 16.30 Płyty 17.15 Koncert solistów 17.50 „Rozmowa z przyjacielem 19.20 Koncert skrzypcowy 19.45 Koncert rozrywkowy 21.00 Opowieść o Chopinie 21.45 Słuchowisko 22.25 Mała Orkiestra P. R. 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek dn. 1. IV. 1937 r. 6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny 12.03 Koncert 15.15 Koncert rozrywkowy 16.35 Pieśni, kołysanki, serenady 17.00 Precz z kobietami 17.15 Kwintet na fortepian, obój, klarnet, waltornię i fagot 19.00 Premiera słuchowiska 19.30 Transmisja z baru „Pod anteną" 20.30 Felieton 21.00 XXI audycja 21.50 Koncert orkiestry 22.45 Muzyka.

Piątek dn. 2. IV. 1937 r. 6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Płyty 15.15 Zespół Stefana Rachonia 16.30 Muzyka dla dzieci 17.00 Odczyt 17.15 Sonaty skrzypcowe 18.00 Przemówienie 18.25 Muzyka 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 Nasza marynarka gra 21.00 Operetka 22,45 Muzyka salonowa orkiestry.

Sobota dn. 3. IV. 1937 r. 6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Zespół Salonowy 14.30 Słuchowisko dla dzieci 15.15 Koncert rozrywkowy 18.10 Przemówienie 19.00 „Audycja dla Polaków z zagranicy 19.50 Mozaika muzyczna 20.10 Zespół harmonistów warszawskich 21.00 Koncert 22.00 „Wesoła Syrena" — „Wiosna" 22.30 Muzyka taneczna orkiestry.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 zł, miesięcznie 1 zł. Wpłacać można w administracji. — Na ręce ks. seniora Plebanja przy Ewang. Kościele Garnizonowym Puławska 4. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Puławska 4, tel. 8.90-15.

Redaktor i Wydawca: **Ks. senior FELIKS GLOEH**

Drukarnia „Głosu Ewangelickiego", Warszawa, Puławska 4, tel. 8 90-15.